

JÓZEF BARAN

## PRZYSTANEK MARZENIE (8)

(FRAGMENTY)



### Dziennik singapurski

Na lotnisku we Frankfurcie, gdzie z powodu lekkomyślności, czyli spóźnienia się na samolot do Singapuru, musiałem czekać całą dobę na następny, mam dużo czasu na przymusowe rozmyślanie o naturze czasu. Tak, niekiedy czas staje się bez-czasem. Przesuwa się tak wolno, że prawie widzę każdą minutę niczym ziarnko po ziarnku przesypujące się w klepsydrze.

W dodatku dokucza mi wściekle ból zatok szczękowych. Na szczęście od spotkanej w restauracji polskiej rodziny dostałem trzy panadole, które nieco ulżyły w bólu.

Próbuję zasnąć to na tym, to na tamtym fotelu, wertuję bezmyślnie twarze, podsluchuję obce języki (Polaków jest tu zresztą też mnóstwo) albo rozżłoszczony i wkurwiony bólem oraz cizbą ludzką dochodzę do następujących krytycznych uogólnień:

...Naruszyliśmy naturalną równowagę między postem i karnawałem, wyrzeczeniem i przyjemnością. Współcześni nomadzi chcą kolekcjonować same przyjemności. Osiągają je samolotowo, a więc szybko i łatwo, przez to mniej cenią i płycej odczuwają.

Przyjemności przejadają się, więc muszą gonić za nowymi, coraz silniejszymi, wymyślniejszymi podnieťami. Wciąż w drodze. Wciąż w poszukiwaniu. Wciąż w pogoni, w wędrówce. Gromady, watahy ludzi na dworcach, na lotniskach – przemieszczające się z miejsca na miejsce, z państwa do państwa, z kontynentu na kontynent. Cały świat w ruchu, w wirówce, w mikserze – skoro szczęście jest właśnie tam, gdzie nas nie ma. Szukamy go, latamy za nim, m.in. ja z bolącą zatoką szczękową, zamiast uisnąć na progu domu w Borzęcinie, jak choćby Józek Czarny, który co prawda posiadał, stępał i zarządzał, z tego siedzenia, ale...

A gdzie wyrzeczenia, posty, ascezy? Czy to już zbyt przebrzmiała forma zaostżenia apetytu, odświeżania kubków smakowych? Kulturywuje się ją tylko w biednych, słabo rozwijających się krajach?

A przecież skądinąd wiadomo, że...

Można być w kropli wody  
Światów odkrywca  
Można wędrując dookoła świata  
Przeoczyć wszystko

Po południu następnego dnia odrętwiały z czekania słyszę za sobą jak we śnie fragmenty rozmowy po polsku o Singapurze.

Zamieniam się cały w słuch w fotelu za ich plecami, stając się... szpiclem, co prawda reprezentującym tylko jednostkową, prywatną agencję ciekawości, ale mimo wszystko nieładnie podsluchiwać...

Rozmawiają dwie Polki i jeden Polak.

Jedna Polka do drugiej:

– Byliśmy tam proszę ja ciebie tylko kilka godzin, ale co za niesamowite miasto! Mieszanka niewybuchowa religii, ras, kolorów skóry, narodowości doskonale ze sobą współżyjących.

– Nie tak jak w Polsce?

– Kochana. W Polsce masz jeden naród, jedną religię, jeden kolor skóry i nie umiemy się ze sobą dogadać... A w Singapurze mieszka na tej samej klatce schodowej Chińczyk, Malaj, Hindus i żadnych kłótni, żadnych bójk, zero przestępczości... No i te czyściutkie ulice...

– Słyszałam, że odstraszaają ich kary. 500 dolarów za wyrzucenie papierka!

– Może i tak... Brak przestępczości ma też zapewne związek z restrykcyjnym prawem. Czapa za gwałt, czapa za handel narkotykami...

– Bardzo dobrze! – wtrąca się do rozmowy Polak, który nie wygląda na człowieka lubiącego rozszczepiać włos na czworo. – U nas też by się to przydało!...

### Po dziesięciu dniach

Po dziesięciu dniach pobytu w Singapurze wiem już co nieco o mieszkańcach tego państwa-miasta. Choćby to, że lubią jeść aż im się uszy trzęsą, a mimo to nie tyją. Czy to sprawa dietetycznej kuchni opartej na ryżach, czy klimatu, trudno zgadnąć. W każdym razie – są przeważnie szczupli, a niektórzy chudzi. Mimo że objadają się w restauracjach, przy stolikach wystawionych na ulicę i w centrach towarowych, gdzie roi się od stoisk z menu chińskim, indonezyjskim, hinduskim, tajskim czy europejskim. Jedzą pojedynczo i parami. Jedzą całymi rodzinami. Jedzą muzułmanie, wyznawcy taoizmu i konfucjanizmu; jedzą ateści i jedzą chrześcijanie. Jedzą młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, ci z dziećmi (1,72 proc. dziecka na rodzinę) i ci bezdzietni. Wszyscy mają ogromny apetyt, co rozpoznaję po ich zapracowanych żuchwach i po zaangażowaniu prawie erotycznie-nabożnym. Jedzą pałeczkami, ale też jedzą widelcami. Ba! Niektórzy Hindusi w dzielnicy Małe Indie jedzą rękami.

Jedzą w porze deszczowej i jedzą w porze suchej. Jedzą rano i po południu, ale szczególnie smak odczuwają wieczorami. Bardzo popularne są tutaj tzw. *haiuker center*, gdzie można wybierać najrozmaitsze potrawy spośród dziesiątek stoisk i garkuchni; wiecznie zatłoczonych, tak jakby pora śniadaniowa, obiadowa czy kolacyjna nigdy się nie kończyła. Przy każdym stoisku wielki wybór mięs (począwszy od pieczonych prosiaków, a skończywszy na ślimakach i udkach żabich), owoców morza i najprzeróżniejszych przysmaków z kuchni azjatyckiej: na

ostro z curry czy z chili, na słodko i na słodko-kwaśno. Można to popić piwem Tiger, napojem z trzciny cukrowej czy sokami wyciskanymi – na oczach kupującego – z rozmaitych egzotycznych owoców, m.in. z duriana... Ceny bardzo przystępne, od 5 do 10 dolarów singapurskich za taczkę dania z ryżem (1 dolar singapurski to około 2 polskich złotych). Ryż – ciemne i jasne, najchętniej w połączeniu z sosem sojowym, duszoną sałatką chińską i kawałkami grillowanej kaczki, wpływają – o dziwo – dobroczynnie na mój kapryśny żołądek, bo nie odczuwam żadnych dyskomfortów, mimo że zdarzały mi się prawie zawsze w nowych miejscach, jako cena aklimatyzacji.

Przypuszczam, że ten nabożny stosunek do jedzenia ma atawistyczne podłoże. Kiedyś – sto czy dwieście lat temu – umierali z głodu i wyćienienia. Więc może chcą się teraz najeść nie tylko za siebie, ale i za swoich wygłodniałych przodków, do których się zresztą modlą i którym składają ofiary.

Nie tak dawno jeszcze, bo w latach 60., gnieździł się w ciasnych uliczkach okno w okno, żyjąc bardzo biednie. Trudno się dziwić, że przeskok cywilizacyjny, jaki się tu dokonał w przeciągu jednego życia ludzkiego: od dżungli do metropolii, od ubogiej wyspy do jednego z najbogatszych – obok Brunei – krajów Azji Południowo-Wschodniej (44 tysiące milionerów w czteropółmilionowym państwie), określa się mianem „cudu gospodarczego”.

W 1820 roku pierwsi Chińczycy płynący za chlebem na tę wyspę mokradel i dżungli tropikalnej przypominali naszych oświećmiaków. Wynędzniali, wygłodniali, ich dzieci umierające w czasie podróży morskiej wyrzucano bez skrupułów za burtę. O tym wszystkim można się dowiedzieć w Muzeum China Town, w starej singapurskiej dzielnicy. W kolejnych salach muzealnych rozmieszczone planse, dokumenty, fotografie i inne eksponaty ilustrujące exodus Chińczyków, przewożonych jak sardynki w puszkach statków z Hongkongu do Singapuru (płynęli 7 dni i nocy). Polakom kojarzy się to jednoznacznie z masowymi emigracjami za Ocean.

Sing Choin Mee, nasz przewodnik po muzealnych salach twierdzi, że szansę mieli jedynie ci, którzy coś potrafili zrobić: szewcy, krawcy, bednarze, ale też artyści, aktorzy, nauczyciele, kaligrafowie piszący analfabetom listy do krewnych w Chinach (język chiński jest przecież niezwykle skomplikowanym systemem paru tysięcy kombinacji znakowych), piekarze, cieśle, znachorzy i... kieszonkowcy, hazardziści, wszelkiej maści przestępcy, mafiosi, którzy zakładali gangi w czasach, gdy kwitły tu gry hazardowe, prostytutka, palenie i handel opium, a „miasto lwa” (Singa Pura) nazywano wyspą przestępców.

Nasz przewodnik, zatrzymując się przy zdjęciach Singapuru z XIX wieku i z pierwszej połowy XX wieku, przyznaje bez ogródek, że Chińczycy z tamtych lat mieli okropne maniery: obsikiwali podwórka, opluwali się na przystankach, wyrzucali śmieci przed dom, gdyby więc nie surowe restrykcje wymyślone przez twórcę współczesnego Singapuru Lee Kuan Yewa, trudno byłoby wytepić tamte rażące praktyki.

cdn.